

WOJCIECH
LESZCZYŃSKI



NIEPOPRAWNE
BAJKI
SŁOWIAŃSKIE

BOGI I DEMONY

TOM 1

Niepoprawne bajki słowiańskie to pozycja dla miłośników fantastyki w postaci wariacji na temat klasycznych bajek, legend, podań czy mitów. Co je wyróżnia? Zamiast kolejnych historii o aniołach i diabłach czytelnik pozna przedstawicieli demonologii słowiańskiej. Stwory te nie są zwykle jednoznacznie dobre lub złe, zatem historie nabierają głębi, zaś motywy działania bohaterów – więcej sensu. Po drugie zaś, postacie zaczynają myśleć, mają własną wolę, a co za tym idzie – buntują się. Protagonista przestaje być popychadłem, wyręczanym we wszystkim przez zaczarowanych pomocników. W ten sposób klasyczne bajki zyskują nowe życie, więcej humoru i łamią utarty schemat, kończąc się nieoczywistą puentą.

Semko zamknął oczy i zamarł. Ale nie skamieniał! Czyżby znów dopisało mu szczęście? Po chwili odważył się odemknąć powiekę. Spojrzał na potworka i na koguta, ale tym razem to tamci odwracali się ze wstrętem. – No, pięknie – mruknął Semko. – Jestem taki brzydki, że nawet bazyliszek nie chce na mnie spojrzeć.



Wojciech Leszczyński – wykształcenia ekonomista, na co dzień zajmuje się urządzeniami kontrolno-pomiarowymi. W ramach odskoczni przeczytał setki bajek, baśni, legend oraz mitów i tak się tym światem zachwycił, że postanowił stworzyć też własny. Gra w kręgle, ogląda snookera, jeździ na muzyczne festiwale i uczy się gotować.


Sorus

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl



WOJCIECH
LESZCZYŃSKI

NIEPOPRAWNE
BAJKI
SŁOWIAŃSKIE

TOM 1

BOGI I DEMONY


Sorus

Redaktor prowadzący
Wojciech Nowakowski

Redakcja
Błażej Kuszczalski

Korekta
Hanna Jaskuła

Skład
Maciej Torz

Projekt okładki
Robert Jarocki

Ilustracje
S. 9 – Aneta Miśkowiec; s. 32, 185, 371 – Katarzyna Lupa (prosto i skromnie);
s. 99, 217 – Katarzyna Keymi (królowna, która była gambitem); s. 269, 299, 327 –
Karolina Wucke; s. 354 – Masza Winiarska

Copyright © by Wojciech Leszczyński 2024
Copyright © by Sorus 2024

Wydanie I, Poznań 2024

ISBN 978-83-67737-99-9

Wydaj z nami swoją książkę!
www.sorus.pl/dlaautorow/

Wydawnictwo Sorus
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja
DM Sorus sp. z o.o.
ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań
tel. +48 61 653 01 43
sorus@sorus.pl

Spis treści

Perun	7
Południca	18
Dobrochoczy	25
Olbrzymy	35
Wodnik	50
Rusałki	57
Cudowna grusza	62
Strzyga	77
Bazyliszki	90
Trzy smoki	97
(Nie)wdzięczni umarli	105
Bezsensowność księcia Bieława	119
Skąd się wzięły wilkołaki	132
Czerwony kapturek	139
Swaróg	148
Weles	157
Dziad borowy	164
Wyspa nieśmiertelnych	181
Dola	190

Domowej	200
Polewej	205
Wład i śmierć	210
Księżycowe źródło	228
Żywa woda	241
O Nawoi, Marciółku i leśnym lichu	253
Sprawiedliwy podział	260
Mumacz	266
Potwór spod łoża	275
O Czciworze, który chciał być kimś	279
Zaklinacz smoków	289
Król głupców	304
Krasnolud	317
Matczyne poświęcenie	324
Morowa dziewica	330
Bieda	339
Utopiec	347
Popiele oko	352
Podarunek	360
Rozpunka	364
Bies z bagien	376
Indeks demonów i bóstw słowiańskich	385

Perun

Drwal Bretomił jak zwykle wstał wcześniej, tuż przed świtem. Przemył twarz wodą, założył roboczy strój, wziął naostrzoną poprzedniego dnia siekiereę, przygotowane zawczasu śniadanie i wyszedł z chaty. Kroki swe skierował do sąsiada i pomocnika zarazem, Niemierza. Mieli wspólnie iść do lasu, aby kontynuować rozpoczęty miesiąc wcześniej wyrąb.

Dom Niemierza znajdował się za gościńcem, po drugiej stronie strumyka. Bretomił przechodził właśnie przez bród, gdy po przeciwnej stronie zobaczył przedziwną, kobiecą postać. Była to mała, zupełnie siwa babuleńka, ale ubrana tak bogato i dostojnie, że sama księżna Witosława nie mogłaby się z nią żadną miarą równać. Staruszka miała na głowie złoty diadem, odziana była w elegancką, czerwoną suknię i wysokie skórzane trzewiki. Na ramieniu niosła czarny woreczek z wyhaftowanymi złotą nicią pięcioma charakterami, zaś nadgarstki zdobiły grube złote bransolety. Bretomił zdziwił się niepomiernie tym widokiem.

– Darz bór! – rzekł niepewnie, gdy podszedł bliżej.

– Darz, darz – odparła niedbale babuleńka, po czym natychmiast dodała: – Mam wiadomość dla ciebie od samego Peruna. Dziś do lasu nie idź. Będą się tam dziać rzeczy, których zwykły śmiertelnik widzieć nie powinien. Rozumiesz?

– Od samego Peruna!? – zawołał z trwogą drwal. – Rozumiem, rozumiem!

Zaraz też w te pędy pognał do chaty Niemierza, by powiadomić go, że dziś do lasu nie idą.

Następnego dnia Bretomił znów wstał wcześniej rano, zanim słońce pojawiło się nad horyzontem. Umył się, ubrał, zabrał śniadanie, siekiere i udał się do Niemierza. Kiedy przekraczał strumyk, na drugim brzegu zobaczył tę samą, co wczoraj, małą, siwą, bogato odzianą babuleńkę. I znów powitał ją słowami „Darz bór”, a ta ponownie go przestrzegła:

– Dziś też do lasu nie idź. Jeszcze Perun swego dzieła nie skończył.

– Dobrze, nie pójdę – zgodził się Bretomił, chociaż kolejny dzień przerwy w pracy nie był mu na rękę.

Zawiadomił więc Niemierza, że znów mają wolne i wrócił do domu, by z nudów zająć się naprawianiem strzechy, chociaż ta wcale uszkodzona nie była.

Trzeciego dnia drwal wstał jeszcze wcześniej, już się nawet nie mył, tylko złapał tobołek z wałówką, siekiere i ruszył w kierunku chaty Niemierza, licząc, że tym razem nie spotka dostojnej babuleńki. Nadzieja okazała się płonna. Od strony strumienia zmierzała szybkim krokiem znajoma staruszka, wyraźnie zdenerwowana i roztrzęsiona.

– Darz bór – wybąkał Bretomił, gdy mijała go na dukcie. Zignorowawszy powitanie, odrzekła prędko:

– Nieszczęście! Nie waż się iść do lasu ani dziś, ani nigdy! Chyba że chcesz poznać gniew Peruna!

– A co się stało? – zapytał zdrętwiały z przerażenia drwal.

– Udało się – babuleńka wybuchła płaczem. – A to oznacza koniec!

I nic już więcej nie mówiąc, zostawiła niepomiernie zdumionego Bretomiła na drodze, a sama nad podziw szybko pobiegła przed siebie, łkając i biadoląc, aż znikła za brzezina. Drwal podumał chwilę, popatrzył trwożliwie na las i powłókł się do chaty Niemierza, by oznajmić złe wieści.



- Ale co tam mogło się stać? – pytał zirytowany Niemierz.
- A skąd ja mam wiedzieć? Powiedziała, że się coś udało. Może jakieś nieszczęście zmajstrowali?
- Nieszczęście to będzie, jak znów nie pójdziemy do roboty. Z czego chcesz żyć?
- Nie wiem... może bednarzem zostanę.
- A beczkę z piasku zrobisz? Drewna nam trzeba niemal do wszystkiego!

Bretomił nic na to nie odpowiedział, Niemierz zaś zaczął wzuwać buty, założył grubą kamizelę, wziął spod ściany siekiere i rzekł:

- Chodź, zobaczymy. Najwyżej się wrócimy.
- A jak się Perun rozgniewa? Mieliśmy do lasu nie włązić.
- Dla Peruna to my jesteśmy dwa małe robaczki. Nie bardziej ważne od pszczół. Co będzie sobie nami głowę zawracał?
- No, nie wiem. – Bretomił nie był przekonany. Lękał się boga piorunów, niepokoił ostrzeżeniami sivej babuleńki, ale z drugiej strony też szkoda mu było tracić kolejne dni na bezrobociu. Potrzebował pieniędzy, zamierzał bowiem poczynić pewne inwestycje.
- Dobra, chodźmy – zdecydował wreszcie cicho.

Kiedy doszli na skraj lasu, nie zobaczyli ani nie usłyszeli niczego podejrzanego. Ot, zwykłe szumienie drzew, stukanie dzięcioła czy świergotanie starych trznadli.

Postępowali ostrożnie, idąc w głąb boru, ku polance, na której już wcześniej pracowali. Kiedy byli niemal u celu, usłyszeli płacz. Z początku cichy, ale z każdym krokiem głośniejszy, narastający, przemieniający się w rozpaczliwy, przejmujący szloch, jaki może być skutkiem tylko prawdziwie wielkiej rozpacz. Zdumieni takim obrotem sprawy, wymienili spojrzenia, mocniej chwycili trzonki siekier i poczęły skradać się ku polanie, starając się nie czynić żadnego hałasu. W końcu, gdy byli już na jej skraju, zobaczyli siedzącą na powalonym dębie wielką postać – potężnie zbudowaną.

wanego mężczyznę o długich włosach koloru dojrzałej pszenicy, z brodą i wąsami podobnej barwy. Jegomość ubrany był w jasną, długą sukmanę przepasaną wstęgą z czerwonej skóry i bogato zdobioną haftami ze złotych nici. Na plecy miał niedbale zarzucone białe futro, a nogi i stopy chroniły mu grube, skórzane onuce przewiązane tasiemkami tego samego koloru co pas. Ogromny mężczyzna, choć w sile wieku, płakał niczym małe dziecko, a to bezradnie trąc oczy i rozsmazując łzy po bujnym zarostcie, a to wściekle grzmocąc pięścią o pień powalonego dębu, aż iskry szły.

Niemierz, widząc tę górę nieszczęść i nie zważając na rozpaczliwe gesty kryjącego się pod jałowcem Bretomiła, postąpił kilka kroków ku płaczącemu. Ten zaś, gdy tylko spostrzegł przybysza, urwał swe donośne jęki, wstał, zrobił wściekłą minę, zgrzytnął zębami, aż echo zachrupało, i uniósł prawicę, jakby miał czymś cisnąć w nieproszonego gościa. Niemierzowi już śmierć stanęła przed oczyma, jednak olbrzymi mąż poniechał zamiaru, machnął tylko zrezygnowany ręką, po czym opadł ciężko na pniak i rozplakał się znowu. Ośmieliło to Niemierza na tyle, by postąpić jeszcze trzy kroki bliżej i zapytać łagodnie:

– Co się stało, panie? Może potrzebujecie pomocy?

Wielka postać nie odpowiedziała od razu. Pochlipywała czas jakiś, coraz ciszej i ciszej, po czym rzekła niemal szeptem:

– A co ty mi możesz pomóc, śmiertelniku... Jestem skończony!

Niemierz odzyskał już całkiem równowagę ducha. Skinął na kryjącego się w jałowcu Bretomiła, by wreszcie wylazł z kryjówki, a sam śmiało podszedł do olbrzyma i usiadł na skraju pniaka. Drwał nie był ułomkiem, ale przy rozpaczającym mężczyźnie wydawał się karzełkiem, malcem, dzieckiem! Choć – z drugiej strony – do wielkoludów, o których Niemierz słyszał z opowieści wioskowych gawędziarzy, sporo jednak leśnemu wyjcowi brakowało.

– Powiedzcie, panie, co was dotknęło – zagał drwał. – Może jednak coś poradzimy?

Wielki mężczyzna smarknął, po czym długo patrzył w dal, jakby chciał zobaczyć, co się dzieje za lasem. Kiedy do pniaka podszedł też drżący ze strachu oraz emocji Bretomił, jasnowłosy odezwał się głucho:

– Mogę wam powiedzieć, co mi tam. I tak pewnie nie zrozumiecie. Domyślacie się, kim jestem?

Wystraszony Bretomił zdołał tylko pokręcić przecząco głową, a Niemierz, choć podejrzewał, kim jest ów mężczyzna, wołał nie wypowiadać jego imienia na głos i udawał, że nie wie.

– Jestem Perun, wasze najwyższe bóstwo, opiekun i pan piorunów – wyjaśnił olbrzym. – Nawet jeśli sobie niektórzy z was myślą, że Świątowit lub Trygław są potężniejsi, to jesteście w błędzie! Ja jestem najwyższy... – Urwał nagle i załamany ukrył twarz w dłoniach. Po chwili odetchnął głęboko, a wyprostowawszy się, ciągnął: – Tak, jestem najwyższym z bóstw i właśnie to jest przyczyną mego nieszczęścia. O wy, śmiertelnicy, dziwiacie się? Otóż wiedźcie, że kiedy osiągnie się doskonałość, kiedy wejdzie się na sam szczyt, to nie można już iść w górę, a wszystkie drogi prowadzą w dół. Gdy możesz wszystko, to niczego już więcej do tego nie dodasz. Kiedy to sobie uświadomiłem, zrozumiałem, że teraz już nic mnie nie czeka! Mogę tylko leżeć na owym szczycie jako byt absolutny i nic nie robić. Żadna bowiem czynność nie wyniesie mnie już wyżej, a każdy błąd spowoduje upadek. Z drugiej jednak strony, jako istota doskonała, nie jestem w stanie popełnić żadnego błędu, albowiem zawsze wybieram rozwiązanie najkorzystniejsze. Pozostanę więc na owym szczycie już na zawsze, bez szansy na rozwój i na upadek, skazany na wieczną bezczynność! Jestem skończony, skończony w każdym znaczeniu!

Wypowiedziawszy te słowa, znów się rozplakał.

Niemierz i Bretomił wymieniali zdumione spojrzenia, aż w końcu ten drugi, przełamując wielki lęk, zapytał cichutko:

– Ale panie, przecież was, bogów, jest kilku, bo każdy robi coś innego, uzupełniacie się, prawda?

Perun otarł oczy, popatrzył smutno na drwala i odrzekł:

– Nie. To do tej pory tak było, ale już nie jest! Potrafię teraz obyć się bez pozostałych bogów, by uczynić dowolną rzecz, która mi przyjdzie do głowy.

– Jak to się stało? – zapytał Bretomił.

– Widzieliście może niewiastę o siwych włosach, która przerażona wybiegała z lasu? – zapytał Perun, a gdy drwale potaknęli, ciągnął:

– To moja żona, Mirosława. Za pomocą Wielkiego Czarar Przemienienia z Księgi Dalemira pomogła mi stać się istotą najdoskonalszą we wszechświecie, a potem była świadkiem mego triumfu, kłęski i rozpaczy. Chyba się wystraszyła, nieboga... Och, Mirczko! – chlipnął, lecz szybko się opanował i mówił dalej:

– Chodźcie, pokażę wam, com stworzył!

To mówiąc, wstał, podszedł do korzenia powalonego dębu, dźwignął go trochę i przesunął, ukazując wejście do jakiejś jamy. Zapraszającym gestem wskazał drwalom drogę do wnętrza, wyjaśniając:

– Nad tym pracowałem przez ostatnie dni.

Niemierz i Bretomił, tyleż przejęci, co zaciekawieni, ruszyli za Perunem w głąb jaskini. Ile szli, sami nie wiedzieli. Może chwilę, może dzień cały, dość, że w końcu wśród nieprzeniknionych ciemności zobaczyli światło. Po kilkunastu krokach znaleźli się na wąskiej kamiennej platformie, a u ich stóp rozpościerał się niesamowity widok. Widzieli krainę jak dwie krople wody podobną do tej, w której na co dzień żyli. Drzewa liściaste i iglaste, strumienie, jeziora, wzgórze i wielką górę, a na jej szczycie ogromne drzewo, niemal uschnięte, tylko na czubku mające kilka zielonych gałązek. Wszędzie zaś żyły zwierzęta dzikie i domowe, ludzie wysocy i niscy, starzy i młodzi, mieszkańcy chat i grodów, wojownicy i kmiecie, przemierzający się tam i siam na wozach, na koniach oraz pieszo. Wszystko, aż po horyzont, wyglądało tak, jak na powierzchni ziemi, tylko w miniaturze, pomniejszone po

wielokroć, oświetlone z jednej strony żarzącą się kulą przypominającą słońce, a z drugiej strony – srebrzystym rogalem spełniającym rolę księżycy.

Perun strzyknął palcami, a z dłoni natychmiast wyskoczyła mu mała błyskawica, która z impetem trafiła jedną z chatek. Strzecha zaraz zajęła się ogniem, a dookoła zebrał się tłum ludzików: połowa usiłowała gasić pożar, a połowa rozpoczęła jakiś religijny rytuał.

– Wszystko, co tu widzicie – odezwał się Perun – stworzyłem sam, bez pomocy Swaroga, Mokoszy, Welesa, Chorsa czy Strzyboga. W kupkę szlamu z wysychającej kałuży piorunem strzeliłem i powstało życie, które w trybie przyspieszonym rozwinąłem do tego poziomu cywilizacyjnego, jaki mamy na zewnątrz. Żyje i działa ta kraina tak samo jak świat poza jaskinią, bo to jej obraz i podobieństwo wszelakie, tyle że mniejsze. Wspaniałe dzieło, które mogę powielić, ile razy zechcę, gdzie zechcę i w jakiej chęć skali. Jeśli zapragnę, zrobię takie samo na księżycu albo w dowolnej części nieba. Mogę przy którejkolwiek gwiazdzie ulepić nową Ziemię i odtworzyć to życie, które znacie, albo jak mi się zamarzy, mogę uczynić wszystko na odwrót, a więc stworzyć istoty, które rodzić się będą stare, a umierać młode. Mogę też zaprojektować człowieka, który będzie cały ze srebra, a zamiast mózgu w głowie posiadać będzie trzy sprzężone ze sobą żelazne kulki myślące za niego.

Drwale rozdziawili gęby, nic z tego wykładu nie rozumiejąc.

– Pokażę wam coś – rzekł Perun, widząc ich zagubienie. – Jak wygląda, waszym zdaniem, Ziemia?

– Jest płaska niczym podpłomyk – rzekł niepewnie, po chwili zastanowienia, Niemierz.

– Dobrze – odparł bóg piorunów, po czym wykonał szybki gest ręką i oto przed ich oczami pokazał się w powietrzu płaski dysk o średnicy trzech stóp. – Co dalej?

– No, podparta jest czterema żółwiami – dopowiedział Bretomił i zaraz pojawiły się żółwie, na skorupach których oparty został podpłomyk.

– Ziemia jest otoczona zewsząd morzami, które spadają w otchłań bez dna – dodał Niemierz, zaś jego towarzysz uzupełnił:

– Na środku powinna być wielka góra, z czubka której wyrasta ogromne drzewo, a dookoła krąży słońce i księżyc.

Perun w mgnieniu oka tworzył to wszystko, o czym drwale mówili, aż wreszcie miniaturka ich wizji była gotowa.

– Więc tak według was wygląda świat – uśmiechnął się na koniec bóg piorunów. – Bardzo ładnie. To dodam jeszcze jakichś mieszkańców, ale nie ludzi. Proszę, wymyślcie coś.

– Niech to będą chude, wysokie, zielone stworki z czułkami, wielkimi czarnymi oczami i na kaczych łapach! – zawołał Niemierz, którego poniosła fantazja.

– I niech mają cztery ręce, ale za to będą bez nosów i zębów i niech jeszcze mówią po celtycku! – dodał Bretomił, który nie chciał być gorszy.

– Po celtycku?! – zdziwił się jego towarzysz. – Po jakimu to? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Aaa, kiedyś nasz szaman opił się wywarem z muchomorów i coś strasznie śmiesznie gadał. Twierdził potem, że mówił po celtycku – wyjaśnił Bretomił.

– Dobrze, dobrze – wtrącił się Perun. – Będzie, jak chcecie, mogą mówić po celtycku. Żeby się to wszystko teraz nie rozpadło, zamknę ten wymyślony przez was świat w glinianym naczyniu i umieszczę na orbicie Jowisza, niech tam sobie żyje i się rozwija, zgoda?

Drwale zupełnie nie wiedzieli, co to jest orbita Jowisza, ale woleli się bóstwu nie sprzeciwiać, toteż pokiwali skwapliwie głowami. Perun pstryknięciem palców przywołał duży, gliniany garniec, włożył weń podparty żółwiami płacuszki z ciekącą wodą i zielonymi, mówiącymi po

celtycku mieszkańcami, po czym wypowiadając jakieś zaklęcie, sprawił, że wszystko zniknęło.

– Gotowe! – rzekł bóg piorunów. – Wielki plan stworzenia nowego świata autorstwa Niemierza i Bretomiła właśnie wszedł w życie. Ciekawe, czy tym istotom kiedykolwiek uda się ustalić, jak powstały – zachichotał, lecz zaraz spoważniał, a na twarzy zagościła mu melancholia i smutek.

– No i widzicie – rzekł po chwili. – Potrafię sam stworzyć wszystko, żywe bądź martwe, z sensem i bez, ale jest jeden problem. Mianowicie, po co miałbym to dalej robić?

Zawiesił głos, jakby oczekując odpowiedzi, ale gdy ta nie nadeszła, kontynuował:

– Wyższego stopnia samorozwoju niż teraz osiągnąć nie będę w stanie, bo taki zwyczajnie nie istnieje. Mogę więc jedynie nic już więcej nie robić przez resztę wieczności, bo jako rzekłem, samemu sobie nie pozwole podjąć żadnej decyzji, która byłaby błędna i mnie ze szczytu strąciła. Widzicie więc mój triumf i klęskę jednocześnie, rozumiecie?!

Drwale co prawda nic nie rozumieli, ale kiwali głowami, jakby wszystko było jasne. Perun przygarbił się, westchnął ciężko:

– Gdybyście naprawdę rozumieli, ucieklibyście jak moja żona. Och, Mireczko!

Zażkał, ale zaraz się opanował i zamaszystym gestem jednoznacznie wskazał, że zaraz będą wychodzić. Gdy wydostali się z jaskini, Perun ponownie zasłonił jej wejście wielkim konarem powalonego dębu, po czym rzekł smutnym głosem:

– Cóż zatem, śmiertelnicy, widzieliście w czym rzecz. Nie ma dla mnie teraz już nic do roboty. W sumie dobrze, żeśmy się spotkali. Choć nie pojmujecie sprawy do końca, a może i wcale, idźcie i głoście, coście widzieli. Przestrzegajcie innych, by do absolutu nie dążyli, bo nie chodzi o to, by osiągnąć, ale by dążyć. A ja muszę sam siebie wygnać gdzieś w kosmiczną próżnię i pozostać tam w doskonałej beczynności na wieczność.

Opuścił więc Ziemię smutny, spełniony, skończony Perun. Gdzie dokładnie się udał – nie wiadomo. Niemierz i Bretomił powrócili do wioski i rozpowiadali, czego to byli świadkami, lecz mało kto im uwierzył. Dopiero za czas jakiś musiała ta sama historia, choć ze zmienionymi imionami bohaterów i kilkoma wątkami pobocznymi, dotrzeć na słowiańskie ziemie ze wschodu, by wielu dało jej wiarę.

Pozostawiona zaś przez Peruna zminiaturyzowana cywilizacja z jaskini chyba całkiem nie upadła, bo znane są wszakże ludzkości liczne historie o skrzatach i krasnalach. Co do zielonych, mówiących po celtycku stworzków, to niewiele o nich wiadomo, jednak niektórzy twierdzą, że je widzieli. Cóż, może się opili wywaru z muchomorów?

Południca

Słońce stało już wysoko, kiedy Nażyr kończył kosić swoją morgę pola. Spoglądał z niepokojem na niebo, czy aby nie nastało już południe. Doskonale wiedział, jakie niebezpieczeństwo niosły ze sobą południce – kobiece demony szukające ludzi, którzy niebacznie przebywali na polu w samo południe. W najlepszym wypadku kończyło się na wyłupieniu oka lub ucięciu ucha, ale zazwyczaj nieszczęśnika spotykała śmierć.

Nażyr zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, dlatego zawczasu skończył kosić i ruszył w zaciszne miejsce, aby odpocząć. Upał pannał niezgorszy, więc młodzieniec postanowił iść nad staw, chcąc zażyć orzeźwiającej kąpieli. Gdy był już na skraju pola, zauważył, że w zbożu coś się poruszyło. „Żytnia baba” – pomyślał i przyspieszył kroku. Mylił się jednak. Spomiędzy łanów wyskoczyli dwaj włóczędzy z kijami i zaatakowali Nażyra. Ten próbował obronić się niesionym sierpem, ale nie dał rady. Napastnicy obili go, zabierając narzędzie pracy, tobołek z jedzeniem, gąsiorek z pitnym miodem oraz kapelus. Nie pogardzili nawet lnianą koszulą, po czym uciekli, zostawiając nieprzytomnego młodzieńca na rozgrzanym polu.

Nie wiadomo, jak długo leżał Nażyr bez ducha, lecz kiedy w końcu się obudził, zauważył z przerażeniem, że przygląda mu się południca.

Poznał ją od razu. Była to młoda, zupełnie ładna dziewczyna owinięta białym płótnem. Miała jasne, rozpuszczone w wielkim nieładzie włosy oraz czarne spojrzenie. Trzymając w ręku szerniały ożóg, patrzyła na młodzieńca ze smutnym uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: „Ach, jaka szkoda, że to ciebie będę dziś musiała zabić”. I rzeczywiście tak powiedziała:

– Ach, jaka szkoda, że to ciebie będę musiała zabić. Miałam nadzieję, że powalisz tych dwóch łobuzów, którzy tu się od rana pałętali, i to z nimi się zabawię, ale cóż, trudno...

– Zaskoczyli mnie – mruknął Nażyr, ocierając krew z rozciętej wargi. – Nie możesz ich teraz dopaść?

– No, nie mogę. Pognali do lasu, a tam wstępu nie mam. To raz. A dwa, po co miałabym ganiać za tamtymi, skoro ty jesteś na miejscu?

Przestraszył się chłopak czekającego go niewesołego losu i spróbował negocjacji.

– Słuchaj. Przecież nie musisz tego robić...

Południca zaśmiała się głośno.

– Oczywiście, że nie muszę tego robić. Nie muszę zabijać, dręczyć, gnębić czy porywać dzieci. Ale ja chcę, bo tak lubię! Strasznie mnie to kręci. Wiesz, może inne południce robią wszystko na odwal się i za karę, pokutując za jakieś tam przewiny, jednak ja mam wielką frajdę z dokuczania innym.

– Słuchaj... – Nażyr, zdając sobie sprawę z tragicznego położenia, myślał usilnie, jak się wyłgać. – A może jest coś innego, co byś chciała?

– Niby co?

– No, nie wiem, na przykład naszyjnik czy pierścion?

– Eee...

– Może nowy, lepszy ożóg?

– Iiiii...

– Chustkę? Suknię?

– Łooooo...

– Buty?

– Pfff...

– Może ci porządnego chędożenia trzeba?! – krzyknął zrozpaczony Nażyr, kiedy już nic innego mu do głowy nie przychodziło. – Chłopa dawno nie miała!

– Hmm... Jakby się zastanowić, to nie jest zła myśl. Ale spokojnie!

– Południca ruchem ręki zatrzymała młodzieńca, który chciał wstawać.
– Nie o ciebie mi chodzi. Z księciem naszym, Miłowitem, bym się zabawiła. Sprowadź mi go, to życie daruję.

– Księcia? To nie będzie takie proste...

– Jasne, że nie, przecież grasz o życie. Dobra, masz rok na to. Jak się nie wywiążesz, to przyjdę po ciebie. I nie myśl sobie, że uratujesz się, nie wchodząc w ogóle na pole. Zawrzemy pakt krwi.

To mówiąc, południca podeszła do Nażyry, zebrała na palec krew, kapiącą z jego rozbitego czoła, po czym zlizwała ją.

– Teraz jesteś mój i ciebie mogę nawiedzać, gdziekolwiek będziesz. Przeprowadź mi tu naszego księcia albo za rok koniec z tobą.

– A nie wystarczy, że obok niego stanę i wtedy się zjawię? – zapytał z nadzieją Nażyr.

– Nie. Tu, w południe, na polu mogę z nim zrobić, co zechcę. Cóż mi po tym, że się pojawię w jego zamku i stanę obok? Władzy nad nim bym nie miała, a dobrowolnie to pewnie by mi się nie oddał – powiedziała, po czym odwróciła się na pięcie i zniknęła w zbożu.

Przez całe lato i jesień rozmyślał Nażyr jak porwać księcia Miłowita i dostarczyć go południcy. Klął sam na siebie, że mu taki osobliwy pomysł z chędożeniem przyszedł do głowy. Chodził pod zamek, próbował zacząć się w lesie, ale żadnego konceptu nie miał. Księżę zawsze jeździł z eskortą, a do komnat dworskich wstępu nijak nie było. W końcu od przypadkowo poznanego kupca usłyszał, że Miłowit przed zimą wyrusza

do swej warowni w górach, by tam zajmować się polowaniami i ucztowaniem, a wraz z pierwszym śniegiem wraca w niziny. Obmyślił tedy Nażyr, że gdy tylko śnieg spadnie, zbierze kilku chłopca i zastawią pułapkę. Jak będą mieć szczęście, to księcia porwą.

Plan był może i dobry, ale do wykonania zabrakło doświadczenia. Nażyr i jego towarzysze znali się na roli, a nie na łażeniu po górach i zbójowaniu, toteż prędko zabłądzili. Kiedy tak włóczyli się po ośnieżonych graniach, szukając drogi, zaczął padać gęsty śnieg. Sypało i sypało, nie widać było końca zamieci. Wszyscy straszliwie zmarzli, mimo iż wychodząc, poubierali, co mieli najcieplejszego, a Nażyr pożyczył nawet od ojca skórę niedźwiedzia. Postanowili zatem na oślep schodzić z gór, byle prędzej, byle jak. Wkrótce potracili się z oczu, więc zaczęli wołać donośnie, gdzie który jest. A lawina jakby tylko na to czekała...

Nażyr zobaczył tylko białą falę sunącą z góry wprost na niego. Próbował uciec, jednak było zbyt ślisko, aby mu się to udało. Masa śnieżna uderzyła w momencie, gdy stał do niej bokiem. Pod wpływem napierającego ciężaru stracił równowagę i runął w przepaść. Zapadła cisza i ciemność.

Młodzieniec ocknął się z wielkim bólem głowy. Powoli otworzył oczy. Ze zdumieniem zauważył, że leży w jakiejś chacie na postaniu ze skór, a nieopodal w palenisku płonie ogień. A więc ktoś pospieszył z pomocą i zdążył na czas! Nażyr ostrożnie próbował wstać. Z zadowoleniem stwierdził, iż wszystkie członki ma sprawne, choć czuł się mocno sponiewierany. Najwyraźniej miał szczęście, więc upadał tylko na miękką puch, a nie na skały i kamienie. Ale jak wydostał się spod śniegu? W tym momencie ktoś wszedł do izby. Nażyr odwrócił głowę i ujrzał starszego, wysokiego mężczyznę o długich, sięgających ramion siwych włosach i równo przyciętej białej brodzie. Człowiek ten ubrany był w jasne futro, jasne spodnie i jasne onuce. Na widok chłopaka uśmiechnął się przyjaźnie.

– Witaj! – powiedział. – Nareszcie się wybudziłeś.

– Rozumiem, że zawdzięczam ci ocalenie, panie?

– Och, zaraz tam „panie”... – zachnął się stary. – Jestem Śnieżny.
– Zatem... dziękuję ci, Śnieżny. Masz we mnie dłużnika! Jestem Nażyr.
– Po prawdzie, to najbardziej przysłużył ci się twój strój. Mocna rzecz ta niedźwiedzia skóra. Uchroniła cię od połamania. Ja cię tylko zabrałem do siebie. Niestety, obawiam się, że reszta twoich towarzyszy nie miała tyle szczęścia.

Zasmucił się Nażyr, ale cóż mógł zrobić. Najważniejsze, że żyje i może wrócić do domu, aby obmyślać nowy plan.

– Gdzie ja jestem? – zapytał. – Jak wrócić do grodu?

– To nie takie proste – odrzekł Śnieżny. – Miejsce, do którego trafiłeś, nie jest całkiem zwyczajne. To jest więzienie.

– Więzienie?! – zawołał zaskoczony chłopak.

– Tak. Moje więzienie. Kiedyś, przed wiekami, byłem potężnym magiem, władcą gór. Opanowałem żywioł wiatru, śniegu i lodu. Czując swoją wielką moc, postanowiłem stać się równy bogom. Z kości śnieżnej bestyi wykonałem kostur i zacząłem gromadzić w nim moc, by wykorzystać ją do ożywiania umarłych. Chciałem stworzyć nieśmiertelną armię, gotową na podbój całej krainy. Niestety Weles przejrzał moje plany i strasznie się zezłościł. Nic dziwnego, wszakże podkradałem mu podwładnych. Wyzwał mnie na pojedynek, na który nie byłem jeszcze gotowy i który przegrałem. Za karę zostałem obdarzony nieśmiertelnością i zamknięty w tych górach. Mogę poruszać się po moim dawnym królestwie, ale nie mogę ani z niego wyjść, ani umrzeć.

– Ja też nie mogę wyjść?

– Ty byś niby mógł. Są dwie bramy. Jedną tu wpadłeś, ale wyjść nią w tej chwili nie można, póki Weles nie otworzy. Druga wiedzie prosto do Wyraju. Twoi zmarli towarzysze nią przeszli. Ja nie mogę, gdyż ustanowiono dla mnie niewidzialną barierę. Ale tobie powinno się udać.

– I co dalej? – pytał zaciekawiony Nażyr. – Co ja, żywy, będę robił w Wyraju? Przecież to kraina dusz.

– No cóż. Najprawdopodobniej coś cię zabije, więc twoim pierwszym zadaniem będzie nie dać się zabić. Po drugie zaś, będziesz musiał odnaleźć Welesa i odebrać mu mój kościany kostur. Z jego mocą łatwo rozbiję bramę, którą tutaj wszedłeś, i obaj będziemy wolni.

– To trochę skomplikowane.

– Nawet bardzo. Ale to jedyny sposób, by się stąd wydostać.

– A jeśli zaniecham wszelkich prób?

– Wtedy, obawiam się, że spędzisz tu ze mną resztę swego życia.

Zamyślił się Nażyr. Co ma do wyboru? Doczekać swych dni w lodowej krainie albo wyruszyć po pewną śmierć do Wyraju, by stanąć oko w oko z demonami, upiorami i innym paskudztwem. A jeśli szczęście dopisze, to spotka potężnego Welesa, który na pewno nie będzie zadowolony, że ktoś chce mu odebrać kościany kostur. Zaś cały ten wysiłek miałby służyć jedynie powrotowi do wioski, na niechybną konfrontację z południcą.

– Wiesz co? Nigdzie nie idę. Zostaję – powiedział Nażyr, rzucając w ką wierzchnie okrycie. – Ja sobie bardzo cenię spokój i ustabilizowany tryb życia, a to wszystko będę tutaj miał.

– Jak tam chcesz – odpowiedział Śnieżny, nieco zdziwiony, ale w gruncie rzeczy zadowolony, że będzie miał towarzysza niedoli.

Mieszkali tak przez pół roku, aż nadszedł dzień, w którym południca miała przyjść po Nażyra. Chłopak zdążył już o niej zupełnie zapomnieć, przekonany, iż nie dopadnie go w krainie gdzieś między światami. Jednak tego wieczoru, gdy lepił bałwana przed chatą, usłyszał znajomy głos:

– No i gdzie księżcunio Miłowit? Mówiłam, że wszędzie za tobą trafię.

Nażyr, kompletnie zaskoczony, zaniemówił. Na szczęście Śnieżny, który pojawił się na progu chaty, języka w gębie nie zapomniał.

– A ty, niewiasto, przepraszam, skądżeś się wzięła?

– Mam z tym młodzieńcem pewien układ. Jest mi winien jednego księcia albo życie. Nie wtrącaj się – odrzekła, machając ożogiem.

– Daleki jestem od wtrącania! – zapewnił Śnieżny. – Wasze umowy mnie nie obchodzą, rad byłbym jednak uzyskać odpowiedź, jak też zamierzasz potem stąd się wydostać. To mnie wielce zajmuje.

– Normalnie. Tak jak weszłam.

– Aha. Chciałbym to zobaczyć, bo zdaje mi się, że to niemożliwe. To jest wejście, a nie wyjście.

– Bez żartów? – południca była wyraźnie zaskoczona. Rozejrzała się, mocno skupiła, jakby samą siłą woli chciała coś otworzyć. Po chwili jednak odpuściła i wymamrotała:

– Oż w mordę. Prawdę rzeczesz...

– No, niestety – potwierdził Śnieżny. – Chyba że chcesz, niewiasto, iść do Wyraju?

– A gdzieżby! Wcale mnie tam nie potrzebują, dość mają własnych, obleśnych demonów. Pfuj.

– Zatem obawiam się, że wpadłaś w pułapkę, tak samo jak ten młodzieniec. I czy go zabijesz, czy nie, będziesz musiała tu zostać na wieczność.

– Na wieczność? Z wami dwoma?

– Jak go nie zabijesz, to z dwoma. Witamy! – Śnieżny skłonił się uprzejmie.

– Ha, skoro tak... – Południca zaczęła intensywnie myśleć. – Może nam nie będzie tak źle. Szerokie macie łóżka? – zapytała filuternie.

Żyli więc sobie tak wiele lat i lepiej nie wnikać w szczegóły zasad dotyczących dzielenia łoża przez południcę, Nażyra i Śnieżnego oraz ich dzieci, wnuczęta i tak dalej... W każdym razie, wiodło im się świetnie i zdołali stworzyć Ningor – lodową krainę zawieszoną między światem żywych a umarłych.

Czasami jakimś tajemnym sposobem udaje się komuś przedostać z tejsze krainy do Jawii, ale żyć tam spokojnie nie może, bo ludzie widzą tylko ducha i zaraz wołają kapłanów-egzorcystów...

Dobrochoczy

Setki lat temu, za górami, za lasami żył pewien książę, który miał pięciu synów. Czterech było mądrych, a jeden, najmłodszy, zupełnie głupi i ułomny. Trzymali tego matoła w specjalnej komnacie, gdzie nawet ściany wyłożone były słomą, żeby sobie krzywdy nie zrobił. Nie o nim jednak będzie ta opowieść, ale o czwartym z synów, Jaromirze, najmłodszym z mądrych, który nie mając większych szans na odziedziczenie książęcego tronu, postanowił wyruszyć w świat i zaznać wesołych przygód.

Wziął tedy Jaromir konia, kilka przydatnych rzeczy na drogę, służbę do pomocy i ruszył w podróż. Wędrowali tak samowtór kilka dni, aż dotarli do wielkiej, nieprzebytej kniei. Skoro była nieprzebyta, uznali popołu, że lepiej będzie ją objechać dookoła. Podróżowali dalej, nie napotyając żywego ducha, aż wreszcie skończyły się zapasy jedzenia i wody. Zmęczeni, głodni i spragnieni zdecydowali, by poszukać w kniei wyjścia z niewesołej sytuacji. Mieli nadzieję, że natrafią na jakiś strumyk, a jak nie, to chociaż malin pojedzą. Traf chciał, że niebawem zauważyli wśród rosnących buków zrujnowaną leśną chatkę. Obok niej zaś znajdowała się stara studnia. Podbiegli do niej Jaromir i sługa i z radością ujrzeni, że wciąż jest pełna. Miny im wszak zrzedły, gdy skonstatowali, że wody nie można ręką dosięgnąć.

– Co zrobić, co zrobić?! – biadolił zrozpaczony sługa, którego paraliżowała wizja śmierci z pragnienia tuż przy źródelku. Jaromir zachował jednak więcej zimnej krwi i zaproponował:

– Złapię cię za nogi i opuszczę do studni. Jak się napijesz, to zamienimy się rolami.

– Zgoda! – Pomagier klasnął w dłonie z uciechy.

Zaraz też złapał go książę za nogi i opuścił w głąb studni. Sługa zdołał sięgnąć miską tafli wody i chociaż wisiał głową w dół, zaczął pić tak łapczywie, że mało się nie zakrztusił. Ugasiwszy pragnienie, dał znać, by Jaromir go wyciągnął, po czym zamienili się miejscami: teraz książę wisiał w studni głową w dół i pił świeżą wodę, a towarzysz trzymał go za nogi. Jednak gdy książę skończył, sługa ani myślał wyciągać go na górę.

– No, mości panie, zamieniliśmy się rolami przy studni, zamienimy się i w życiu – rzekł niegodziwiec. – Mogę cię puścić i się utopisz. Ale mogę też cię wyciągnąć, jeśli mi przysięgniesz, że od tej pory będziesz mi sługą, a mnie uznasz za swego księcia.

– Zgoda! Przysięgam! – zawołał Jaromir, bo nie miał wyjścia.

Sługa wyciągnął go więc ze studni, po czym zażądał książęcych szat i dorodnego konia. Jaromir kiwnął głową na znak zgody i odwrócił się, niby celem zdjęcia ubrania, ale tak naprawdę niepostrzeżenie dobył sztylet i nadspodziewanie szybkim ruchem wbił go zdradzieckiemu słudze w samo gardło.

– Masz, księciuniu od siedmiu boleści! – wyszczał Jaromir do ucha umierającego.

Następnie wytarł sztylet i usiadł pod drzewem, by chwilę odsapnąć po niemilej przygodzie. Naraz poczuł, że pień się poruszył. Przestraszony książę odskoczył i spojrział za siebie, aby sprawdzić, co się dzieje. Z wielkim zdumieniem zobaczył, że wysoka sosna, pod którą przed chwilą spoczywał, ożyła i przemawia do niego surowym głosem:

– Morderco i krzywoprzysięzco! Spotka cię kara za twój czyn!

Jaromira oblał zimny pot, zrozumiał bowiem, że oto spotkał Dobrochoczego. Był to leśny demon, który swoim wzrostem i posturą dopasowywał się akuratnie do drzewa, obok którego właśnie stał. Sprawował samozwańczą funkcję sędziego bezwzględnie karzącego złoczyńców, ale jednocześnie opiekował się w puszczy ludźmi poczciwymi.

– Masz coś na swoje usprawiedliwienie, zanim urwę ci głowę?

Książę myślał gorączkowo, aż przypomniał sobie, że Dobrochoczy nie gardzi podarkami, zwłaszcza jedzeniem, a pod ich wpływem często zmienia wydany już wyrok.

– Tak, o wielki sędzio! Ale najpierw pozwól, że poczęstuję cię chlebem i solą. – To mówiąc, wygrzebał z woreczka ostatnie resztki jedzenia i podał demonowi. Ten, jakby trochę udobruchany, zżarł wszystko w mgnieniu oka i rzekł:

– Nie myśl sobie, że zmyłeś tym swoją winę. Za krzywoprzysięstwo i morderstwo musisz ponieść karę.

– Tak, ale to ten niegodziwiec wymusił na mnie przysięgę – tłumaczył się Jaromir. – Taka przysięga jest nieważna przecież! A więc to on musiał być ukarany.

– Tak było? Masz na to świadków? Twój kamrat już nic nam raczej nie powie. A może łżesz, żeby od siebie winę odsunąć?

– Yyy, eee, aaa, ooo! – rozpaczliwie jękał się książę, myśląc, co odpowiedzieć, lecz w tym momencie usłyszał cichy skrzekliwy głosik:

– Prawdę rzecze. Ja widziałam i słyszałam.

Z gęstwiny krzaków wyszła stara, niska, korpulentna kobiecina, ubrana w suknię uplecioną z leśnych roślin. Zamiast włosów miała związające pęki zielska, a cała gęba wokół ust upaprana była jagodami, malinami i poziomkami. Była to Jagodowa Baba włócząca się po puszczy w poszukiwaniu jakichś dzieci, które mogłaby straszyć.

– Prawdę mówi ten młodzieniec. Sługa niegodziwy kazał przysięgać, gdy go pod szantażem w studni trzymał.

– Ach tak? – rzekł z namysłem Dobrochoczy. – No to zmienia postać rzeczy, winę umniejsza, ale jej nie zmazuje. Jeśli idzie o wyrok, to zdamy się na twoją dola, człowieku! Zatem słuchaj. Pójdiesz teraz precz, prosto przed siebie... I jedź tak długo, aż natrafisz na jakąś chatę. Pierwszą pannę, jaką spotkasz, musisz poślubić. Jeśli postąpięś słusznie, to zapewne napotkasz piękną, bogatą księżniczkę albo córkę wojewody. Ale jeśliś postąpił podle, to żoną twoją zostanie trzęsawica, utopczanka, karlica albo inna poczwara. Rzekłem.

To powiedziawszy, zamienił się w cis. Cóż miał w tej sytuacji począć Jaromir? Odszedł ze spuszczoną głową, wiedząc, iż z wyrokami sędziego się nie dyskutuje. Już miał wsiadać na konia, kiedy dogoniła go Jagodowa Baba i rzekła skrzekliwym głosem:

– Poczekaj, piękny kawalerze! Coś mi się chyba należy za to, że dałam dobre świadectwo za ciebie, czyż nie?

– Prawdę zaświadczyłaś, więc czego właściwie chcesz?

– Jak powiem, że twójego pierworodnego, to się pewnie nie zgodzisz.

– Zaiste – odparł Jaromir, łypiąc złym wzrokiem. – Nie zgodzę się.

– No to musisz przysiąc, że oddasz mi swoje drugie dziecko. A jak nie, to idę do Dobrochoczego i odwołam zeznanie.

– No dobrze, zgoda... Przysięgam – powiedział cicho książę, ale gdy tylko Jagodowa Baba się odwróciła, by odejść, dobył miecza i sprawnym cięciem pozbawił ją głowy.

– Co ty wyprawiasz?! – rozległ się straszny krzyk. – Znów mordujesz?!

Obok krzaka jałowca stał Dobrochoczy, tym razem niski, krępy i cały obwieszony szyszko-jagódkami.

– Znów chciano na mnie przysięgę szantażem wymusić!

– I znów mam w to uwierzyć?

– Tak.

– Świadkowie są?

– Nie wiem – odparł książę. – Ostatnio nagle pojawiła się wredna baba, może i tym razem...

Ale tym razem tylko dzieciół stukał gdzieś w oddali.

– Cóż... – Dobrochoczy przeszedł kilka kroków, zamieniając się w rozłożysty świerk. – W sumie to nie miałeś interesu, by ją zabijać, zaświadczyła za tobą... Ale pewności nie mam. Zresztą zabiłeś ją i kara być musi, niezależnie od okoliczności. Dlatego znów zdam się na los. Złoczyńców karzę dotkliwymi chorobami, zazwyczaj śmiertelnymi. Tobie tymczasem spletam figła, mianowicie wyrosną ci dwie śliczne, okrągłutkie piersi. Każda niewiasta na ich widok poczuje zazdrość. Znikną dopiero wtedy, gdy któraś nie będzie ci ich zazdrościła. Jeśli jesteś niewinny, to jeszcze dziś taką właśnie spotkasz. A jak winny, to będziesz miał niewieście piersi do końca życia.

Jaromirowi wyrok Dobrochoczego wydał się tak nedorzeczny, że zapytał z ironią w głosie:

– A będę miał mleko?

– Mleko? – zapytał zdziwiony sędzia, ale w mig pojął, że młodzian sobie z niego kpi. Postanowił się więc zrewanżować:

– Hmm. Dobra. Będziesz miał – zawyrokował, zamieniając się z kolei w małą jodełkę.

Książę poczuł w tym momencie, że jego bluza poniżej ramion przybrała wypukły kształt. Ściągnął więc rychło odzienie i stwierdził, że istotnie posiada parę prześlicznych, jędrnych piersi, niesamowicie miłych w dotyku. Ścisnął je delikatnie, a na sutku pojawiła się kropelka mleka.

– O, w dupę! – jęknął, po czym rozgniewany na niesprawiedliwy wyrok dobył miecza i jednym cięciem powalił jodełkę. Jednak ledwo to uczynił, natychmiast usłyszał znajomy, srogo brzmiący głos Dobrochoczego, dobiegający z modrzewia rosnącego nieopodal:

– No nie! To i mnie chciałeś zabić?!

– Ależ skąd! – Jaromir aż padł na kolana. – Dostojny sędzio, ja tylko chciałem drzewa na opał narąbać.

– Nie mam już siły do ciebie! – krzyknął gniewnie Dobrochoczy. – Niech Dola ostatecznie zadecyduje! Mam tu akurat szyszkę, którą zaraz rzucę. Powiedz, w co się zamieni, gdy spadnie na ziemię?... Wybieraj! W głowę psa czy konia?

– Ale ja... – próbował coś bąkać Jaromir, jednak sędzia ryknął:

– Głowa psa czy konia?!!!

– Psa – pisnął wystraszony książę.

Dobrochoczy rzucił szyszkę, a gdy tylko dotknęła leśnej ściółki, zamieniła się z hukiem w głowę martwego psa.

– Pies – potwierdził wyraźnie rozczarowany wielki sędzia. – Niech więc będzie, że mówiłeś prawdę. Ale radzę ci, żebyś powściągliwiej się z mieczem obchodził!

To rzekłszy, zniknął w kniei, a wystraszony nie na żarty książę dośiadł konia i ruszył w drogę. Jechał samotnie, przez wiele dni nie spotykając na drodze nikogo. Nic w tym zresztą dziwnego, gdyż w owych czasach ostępy leśne nie były zbyt uczęszczane. Z uwagi na fakt posiadania imponującego biustu Jaromir nie palił się do opuszczenia lasu, wstydząc się swej przypadłości. Jednak któregoś wieczora wyjechał wreszcie na sporej wielkości polanę, na której dostrzegł samotną chatkę. Struchlał, pomyślawszy, że w środku znajdzie jakąś bardzo starą pannę w postaci baby jędzy, którą zmuszony będzie poślubić. Po chwili struchlał jeszcze bardziej, gdy przez myśl mu przeszło, że chata jest siedzibą zbójców, a ci mogą być bardzo wrogo nastawieni do mężczyzny z cyckami. Ale z drugiej strony pocieszył się myślą, że może to jakaś wypędzona księżniczka mieszka w leśnej głuszy i wyczekuje wybawienia.

– Co ma być, to będzie – rzekł sobie i ruszył w stronę chatki. Zapukał delikatnie do drzwi, lecz niezbyt się ucieszył, słysząc chrapliwy, złowieszczy głos:

– Wlazł!

Otworzył ostrożnie drzwi i ku swemu przerażeniu w niewielkiej, brudnej, zapuszczonej izbie zobaczył odrażającego potwora: była to wysoka, chuda baba porośnięta od stóp do głów czymś, co przypominało mech. Miała niezwykle długie, duże piersi – jedna zwisała jej niemal do pępka, a druga była nonszalancko zarzucona na plecy. Jedyne jej ubiór stanowiła przepaska biodrowa z zielca bylicy i czerwona czapeczka na głowie z zatkniętym na czubku liściem paproci.

– Czego chce?! – zapytała groźnie.

– No... właściwie to nie mam sprecyzowanych celów – dukał niepewnie książę, nie chcąc powiedzieć za dużo na początek.

– Przyłazisz sobie do mamuny, ot tak? – zdziwiła się istota.

– Jesteś mamuną?

– Nie, panem wojewodą! A kim mam być? I czego chcesz?! Gadaj, bo cycem przyłożę!

– Dobrze – rzekł pojednawczo, nie wiedząc, co począć. – Wszystko powiem. Wielki sędzia leśny, Dobrochoczy, zawyrokował, że mam się ożenić z pierwszą panną, jaką napotkam. Czyli chyba z tobą – jęknął na koniec zboliałym głosem.

Mamuna roześmiała się straszliwie, a po dłuższej chwili odpowiedziała:

– Figlarz z mości sędziego. Świetny wyrok, zaiste. Niestety, nie możesz się ze mną ożenić, bo nie jestem już panną.

– Ach – westchnął z ulgą książę. Jednak stwór zaraz dodał:

– Tak, panną nie jestem. Ja już nawet dziecko mam – wskazała szponem na stojącą w rogu kołyskę.

– Córeczkę? – zapytał przerażony Jaromir i rzucił okiem na kołyskę. Zobaczył małą, powykrzywianą, porośniętą mchem twarzyczkę z wielkimi wargami, płaskim noskiem na pół twarzy, jednym okiem i uszami jak u osła.



– Tak, mój drogi zięciu – odrzekła mamuna, wybuchając gromkim śmiechem. – Możesz się z nią, zgodnie z wyrokiem Dobrochoczego, ożenić, jak podrośnie.

– Ale przecież byłem niewinny, niewinny – bełkotał jak w gorączce książę. – To się nie może dziać! Niewinny!

– Słabo ci? – zapytał demon. – Odpocznij sobie. Ja tymczasem muszę iść pranie zrobić. Popilnujesz żony, co? Ha! Ha! Ha!

Oszołomiony Jaromir usiadł pod ścianą i nie wiedział, co począć. Popełnić samobójstwo? Nie, życie jest jedno. Zlekceważyć wyrok Dobrochoczego? Nie, to oznaczałoby tylko dodatkowe wielkie nieprzyjemności. Szukać pomocy u samego Roda albo odkupienia w pustelni? Nie takie to nawet głupie, ale jak się do sprawy zabrać?

Mamuna wyszła tymczasem zrobić pranie w pobliskim strumyku. Zaraz też dał się słyszeć charakterystyczny odgłos, gdy piersiami zaczęła młócić pranie rozłożone na płaskim kamieniu. Hałas najwyraźniej zakłócił sen dziecku, gdyż zaczęło popłakiwać, a po chwili rozdarło się na cały głos. Matka nie reagowała na to, wiedząc, że córka po prostu musi taka być: rozwydrzona, niespokojna, brzydka, zapłakana, usmarkana i uciążliwa. Jak to dziecko mamuny.

Po jakimś czasie książę, wyczerpany krzykami małej, mając już wszystkiego dość, zerwał się z klepiska i ruszył w kierunku kołycki. Jedyną jego myślą było popełnienie kolejnego w niedługim odstępie czasu morderstwa. Zyskałby tym wreszcie chwile upragnionej ciszy, choć także zapewne i kolejny wyrok Dobrochoczego. To ostatnie go jednak nie obchodziło, gorzej być wszakże nie mogło. Gdy dopadł kołycki i spojrział na tę brzydką, ale zupełnie bezbronną istotkę, serce mu zmiękło.

– No przecież jej nie zatłukę – mruknął do siebie.

Przypomniał sobie w tej samej chwili, że dysponuje przecież parą pięknych, mlecznych piersi. Podwinął więc bluzę, wyjął swą przyszlą żonę z kołycki i przystawił do sutka. Mała natychmiast się uspokoiła, zaczyna-

jąc ssać. I o dziwo, im dłużej ssała, tym robiła się ładniejsza, coraz bardziej przypominając normalne ludzkie dziecko. Zdumiony książę patrzył na to z rozdziawioną gębą, aż na progu chaty pojawiła się mamuna. Ona także była niepomiernie zdziwiona.

– Skąd masz takie wspaniałe cycki?!

– Dobrochoczy mi dał.

– Figlarz jeden. Ale... ale... co ty zrobiłeś z moim dzieckiem?! Podmieniłeś?!

– Cicho, bo ją obudzisz – skarcił demona książę. – Zaczęła ssać mleko i się odmieniła. Jest teraz zupełnie ładna.

– Niemożliwe! A więc to mleko mężczyzny jest tym cudownym eliksirem, który przywraca niewiastom urodę? Daj i mnie!

– No chyba cię Perun opuścił! – krzyknął przerażony Jaromir. – Idź precz!

Mamuna postąpiła dwa kroki naprzód, by dorwać się do książęcych piersi. Wywiązała się krótka szamotanina, z której demon wyszedł zwycięsko, głównie dzięki temu, że Jaromir wciąż trzymał na rękach swą przyszlą żonę i nie mógł się odpowiednio bronić. Po chwili leżał na ziemi i z bezradną miną dawał mleko i mamunie, i jej małej córeczce. Z każdym zassaniem obie piękniały, a gdy się wreszcie nasyciły, bez cienia wątpliwości można było stwierdzić, że są to najpiękniejsze istoty, jakie kiedykolwiek po świecie chodziły.

Jaromir, zachwycony efektami, uznał Dobrochoczego za najbardziej sprawiedliwego sędziego, a potem zabrał mamunę i jej córeczkę do rodzinnego grodu, gdzie żyli długo i szczęśliwie. Tylko sobie nie myślcie, że w jakimś zbereżnym trójkącie! Mamuna wyszła bowiem za mąż za trzeciego z braci, a Jaromir cierpliwie czekał, aż przypisana mu przez leśnego sędziego panna dorośnie. A w międzyczasie założył pierwszy w tej części świata salon przywracania urody podstarzałym niewiastom. I póki księżciu całkiem się cycki nie wysuszyły, cały ród prosperował znakomicie.

Olbrzymy

Dawno, dawno temu, kiedy opisane tu zdarzenia były całkiem możliwe, na Wisłę, od strony Bałtyku, wpłynęła wielka łódź. Wiozła na pokładzie siedmiu olbrzymów, którzy wyruszyli na daleką wyprawę, bowiem okolice swojej dotychczasowej siedziby spustoszyli i ogołocili doszczętnie, przez co ich żony i narzeczone nie mogły dostawać nowych prezentów.

Śmiałkami owymi było siedmiu braci z rodu Ajło: Rębajło, który potrafił walczyć jednocześnie toporem i mieczem, Biegajło, szybki niczym błyskawica, Skakajło, skaczący pod samo niebo, Wykidajło, szeroki tak, że za tarczę służyły mu wrota od stodoły, Strachajło, wzbudzający lęk i przerażenie u przeciwników swoją demoniczną zbroją wykonaną z kości pokonanych przeciwników, Zapiewajło, intonujący straszliwe pieśni, na dźwięk których ludzie tracili zmysły, oraz Popychajło, którego – gdy tylko ruszył – nie mogła zatrzymać żadna ziemna przeszkoda, a jeno woda, o ile zanurzył się w niej po szyję. Wzrostem przewyższali ludzi przynajmniej dwukrotnie, a srogi Rębajło może nawet trzykrotnie. Z łatwością wyrwali niektóre drzewa, koniom skręcali karki gołymi rękami, a głazami polodowcowymi rzucali w zawodach.

Żeglowali Wisłą pod prąd dzień, może dwa, aż w końcu spostrzegli gród usytuowany na prawym brzegu rzeki. Przybili doń i bez najmniej-

szego trudu go zdobyli. Jako że okolica bardzo im się spodobała, uznali, iż tym razem nie będą płądrować i niszczyć, ale wybudują sobie tutaj siedzibę, bazę wypadową na kolejne wyprawy, i sprowadzą swe żony i narzeczone. Okolicznych mieszkańców sterroryzowali i zniewolili, każąc im usługiwać, zdobywać pożywienie i pomagać przy budowie nowego grodu, do wznoszenia którego niezwłocznie przystąpili.

Mijały miesiące. Ludzie cierpieli w niewoli olbrzymów, wciąż uwięzieni, zastraszeni, głodni. Żaden bunt jednak nie miał szansy powodzenia, bo sam tylko Zapiewajło potrafił przywrócić bezwzględny posłuch; wystarczało, że zaintonował jedną ze swych straszliwych pieśni wojennych.

Jednak pewien młodzieniec imieniem Każko nie mógł już dłużej znieść niewoli i postanowił uciec. Uznał, iż jeden człowiek zdoła się wymknąć niezauważony, a olbrzymom może nie będzie się chciało go ścigać. Pozostali towarzysze niedoli dowiedzieli się w jakiś sposób o planach Każka, lecz nie zamierzali go powstrzymać.

– Wiemy, że to ogromnie niebezpieczne – stwierdził dawny władca grodu, kasztelan Suła. – Jeśli olbrzymy cię złapią, zginiesz marnie. Ale jesteś naszą szansą – dodał uroczyście. – Pomożemy ci w ucieczce, a ty musisz znaleźć jakiś sposób, by nas wyzwolić. Sprowadź wojska, choćby od Sasów lub Czechów, sprowadź smoki, czarowników albo nawet biesy! Musimy za wszelką cenę pozbyć się ciemiężców.

– Dobrze – odparł Każko. – Pójdę i będę głosił wieść o olbrzymim niebezpieczeństwie, które czyha też na innych. Mam nadzieję, że mnie ktoś wysłucha.

– Wysłuchać może i wysłucha – odezwał się niespodziewanie najstarszy z mieszkańców, niejaki Izbygniew. – Ale zapewne potraktuje opowieść jako dykteryjkę prosto z gospody. Póki olbrzymy nie skończą budowy i nie zaczną płądrować wszystkiego dookoła, i dawać się innym we znaki, nikt nie uwierzy.

– Cóż więc czynić? – zapytał kasztelan.

– Nasamprzód niech chłopak idzie wzdłuż Wisły na południe. Nieopodal miejsca, gdzie jest ujście Nogatu, znajduje się Biała Góra. Mieszkał tam w samotni mój brat, Izbylut, który, mam nadzieję, wciąż żyje. Za młodu podróżował był z kupieckimi karawanami i objechał pół świata. Zobaczył rzeczy tak przerażające, iż nigdy o nich nie opowiedział, tylko podjął życie pustelnika.

– I niby będzie wiedział, jak pozbyć się olbrzymów? – wtrącił z wątpiewaniem Suła.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Izbygniew. – Nie znam jednak nikogo innego.

Kolejnej nocy zgodnie z ustaleniami Każko wymknął się z grodu, a pozostali mieszkańcy wszczęli małą awanturę między sobą, by odwrócić uwagę olbrzymów. Ci bardzo lubili, gdy ludzie się wzajemnie zwalczali, więc przyszli popatrzeć. Tymczasem młodzieniec biegł co sił wśród porastających brzeg Wisły lasów, jak najszybciej i najdalej na południe.

Po kilku dniach dotarł w miejsce, gdzie Nogat wpadał do Wisły. Zobaczył też Białą Górę wznoszącą się nad malowniczą łąką i znacznie mniej malowniczym mokradłem.

Wchodząc na szczyt, dostrzegł wśród drzew małą lepiankę obłożoną mchem i gałęziami. Siedział przed nią siwy staruszek i kreślił patykiem po ziemi jakieś znaki.

– Niech się darzy! – rzekł na powitanie Każko.

– Zobaczymy co – odrzekł zagadkowo starzec. – Czego chcesz?

– Jeśli jesteś pustelnikiem Izbylutem z Białej Góry, to pragnę porady. Dziadek popatrzył na przybysza niechętnie, ale w końcu odparł:

– Skoro znasz moje prawdziwe imię, to najpewniej znaczy, że przysłał cię mój brat. Z czym przychodzisz?

– Na nasz gród napadły olbrzymy i wzięły wszystkich do niewoli. Wystługują się nami, a same budują warownię jako swoją siedzibę na

zbrojne wypadki. Jeśli ich nie powstrzymamy, splądrują wszystko w okolicy bliższej i dalszej.

– Tak... – Staruszek się zadumał i długo milczał. – Cóż, jeśli jest tak, jak mówisz, to rzeczywiście grozi wam niebezpieczeństwo i wypadałoby temu zaradzić. Olbrzymy bywają dość paskudne.

– Wiesz, jak się ich pozbyć?! – zapytał z nadzieją w głosie Każko.

– Wiem – odparł pustelnik i znów umilkł.

– A powiesz? – dopytał po chwili młodzieniec.

– Co mam nie powiedzieć? Można by rzucić na olbrzymy zaklęcie, które na przykład zamieni ich w głązy albo zmniejszy do rozmiarów karzełek i kłopot z głowy.

– Umiałbyś to zrobić?! – ożywił się Każko.

– Tak, nauczyłem się kilku zaklęć, gdy w czasie jednej z podróży na południe towarzyszył nam pewien czarnoksiężnik – odrzekł stary. – Ale nie uczynię tego.

Młodzieniec rozdziawił gębę ze zdziwienia i nie mógł wyrzec słowa. Izbylut widać tylko na to czekał, bo przywołał na twarz złośliwy uśmiešek i kontynuował:

– Dziwisz się, czemu? Ano temu, że o ile przedsięwzięcie, o którym mówisz, jest szlachetne, to ludzie nie są warci tego, aby sobie dla nich trud zadawać. Mędrzec nie będzie się narażał dla dobra innych i wystawiał swą mądrość na niebezpieczeństwo dla głupców. Tak nauczał dawno temu mistrz Hegezjasz, mądrość którego miałem okazję poznać podczas podróży do Hellasu.

Każko wciąż pozostawał tak głęboko zdumiony, że kompletnie nie wiedział, co na to rzec. Krew tylko w nim zawrzała, zacisnął w gniewie pięści. Pustelnik widząc to, znów uśmiechnął się złośliwie.

– Próżna twa złość. Nic w ten sposób nie uzyskasz.

Młodzieniec uspokoił się więc nieco, wziął głęboki oddech, po czym przełamując dumę, padł na kolana i zaczął błagać Izbyluta o pomoc.

– Już dobrze, już – odparł stary, któremu widocznie zależało na takim efekcie. – Sam nie pójde walczyć z olbrzymami, bo przeciw siedmiu nic nie zdziałałam. Nec Hercules contra plures. Tak też mówili na dalekim południu, którem odwiedził za młodu.

– A co to znaczy?

– Że nawet największy bohater nic nie zdziała sam przeciw wielu. I Herkules dupa, jeśli ludzi kupa. Jest jednak inny sposób. Zdarzyło ci się wypić kiedyś za dużo mocnego miodu?

– Zdarzyło – przyznał nieco zakłopotany Każko.

– Zapewne więc wiesz, iż na bolącą głowę najlepsza jest kolejna porcja trunku. Zmierzam do tego, że olbrzymom trzeba przeciwstawić innego wielkoluda.

– Ale samiście przed chwilą mówili, że jeden przeciw bandzie nic nie zdziała.

– Jeden nie, lecz gdyby miał pomocników, to co innego.

– Wtedy zastąpimy jednych ciemężycieli drugimi – jęknął Każko.

– I tu jest potrzebna mądrość, aby odpowiednio tych pomocników dobrać. Słuchaj uważnie! Pójdziesz teraz na zachód, do krainy Kaszubów. Odnajdziesz tam Kastukiego, ostatniego stolema, który zaszył się, podobnie jak ja, w pustelni. Powiesz mu, z czym przychodzisz i poprosisz o pomoc.

– A jak się nie zgodzi? – wtrącił Każko.

– Zgodzi się, jeśli mu przekażesz, że przychodzisz ode mnie z wiadomością, iż pod grodem, który wam odebrano, jest ukryta pracownia prastarego alchemika. Znajdzie tam eliksir wszechwiedzy, a gdy go wypije, pojmie istotę wszechrzeczy i wróci mu chęć do życia.

– Skąd ta pewność?

– Ech... – starzec się zawahał. – Kiedyś podczas podróży spotkałem Kastukiego i opowiadałem mu o naukach mistrza Hegezjasza. Popadł wtedy w stan smutku i pesymizmu, po czym zaszył się w samotni wśród jezior i lasów.

– To o czym ten Hegezjasz nauczał?

– Tak w skrócie, że celem życia jest przyjemność, ale wiedział, iż jest ona tylko chwilowa i ulotna. Szczęścia nie można osiągnąć, a jedynie można się zadowolić brakiem smutku. Śmierć zaś uwalnia nas od cierpień.

– Skrajny pesymizm prowadzący do samobójstwa – podsumował Każko.

– Właściwie tak – przyznał pustelnik. – Ale stolemy nie popełniają samobójstw. Jeśli powiesz Kastukiemu o eliksirze, powinien się podjąć zadania, gdyż to pozwoliłoby mu stać się mędrce. A człowiek mądry ma przewagę nad innymi, nie tyle w wybieraniu rzeczy dobrych, ile w unikaniu rzeczy złych. Tego też nauczał Hegezjasz.

– No dobrze, a co z pomocnikami?

– Dasz mu tę kulę. – Izbylut podał młodzieńcowi okrągły przedmiot. – Ona najpierw wskaże ci drogę do Kastukiego, a potem jemu drogę do sześciu osób, które mają głęboko ukryte moce. Wyzwolić je może dotknięcie tą kulą, to już Kastuki sam zobaczy.

– Dziękuję – wybąkał Każko. Wziął zaczarowaną kulę, skłonił się i ruszył w drogę.

Długo wędrował młody bohater, ale prowadzony przez zaczarowaną kulę dotarł wreszcie do samotni stolema Kastukiego i przedstawił swą sprawę. Wielkolud, mający wielce posępne, zafrasowane oblicze, wysłuchał Każka nieco znużony, ani razu nie przerywając. Następnie zamyslił się nad czymś i milczał bardzo długo. Gdy młodzieniec zaczął już niecierpliwie przestępować z nogi na nogę, Kastuki ożywił się gwałtownie, jakby właśnie wpadł na jakiś doskonały koncept i niespodziewanie uśmiechnął się szeroko i radośnie.

– Powiadasz więc, że jest ich siedmiu? Same chłopcy?

– No tak – potwierdził Każko nieco zdziwiony.

– Zgoda zatem! – zawołał stolem, klaszcząc w masywne dłonie. – Odszukam pomocników i przepędzę najeźdźców. Nagroda zaiste może być warta trudu!

Kastuki wziął bursztynową kulę, która natychmiast rozjarzyła się żółtym światłem. Olbrzym, lekko zaskoczony, popatrzył na Każka, po czym dotknął go bursztynową kulą. Młodzian w jednej chwili przemienił się w wysokie, czarne buty z dobrej skóry. Kastuki założył je, by sprawdzić, czy rzeczywiście pozwalają wysoko skakać i jednym krokiem przemieszczać się o siedem mil. Zadowolony z efektu opuścił swą samotnię i prowadzony przez czarodziejską kulę ruszył na poszukiwania pomocników.

* * *

Córka starego miecznika Budzimira była niezwykle piękna. Ojciec strzegł jej jednak jak oka w głowie i ani myślał wydawać za mąż za pierwszego lepszego łapersdaka.

– Ale panie tatku, starą panną zostanę – skarżyła się.

– I co z tego? Na posagu oszczędzę i będzie mnie miał kto na starość doglądać – odpowiadał niewzruszenie rodzic.

– Ale tak się nie godzi! Ludzie powiedzą, że starą pannę w domu trzymasz.

– W dupie mam, co ludzie powiedzą! – krzyknął miecznik, kładąc osobliwy akcent na drugi z wyrazów. – I tak gadają, co chcą! Jakby miało mnie to obchodzić, już dawno bym się obwiesił na suchej gałęzi.

– Ojczcie! – załkała. – Daj mi chociaż jakąś szansę. Przecież musi być na świecie ktoś, kto w twych oczach będzie mnie godzien.

Rzemieślnik zamyślił się, potarł nos, pogładził brodę, po czym rzekł z lekkim uśmieszkiem:

– Dobrze! Jeśli znajdzie się ktoś, kto wykuje taki miecz, który bez żadnego wyszczerbienia da się wbić w młyński kamień, ten może cię brać za żonę.

Córka rozpląkała się na te słowa, wiedziała bowiem, jak trudny to warunek. W pewnej chwili jednak płacz uwiązał jej w gardle, gdyż do

kuźni niespodziewanie wszedł ogromny stolem. Bez słowa podszedł do miecznika, którego przewyższał wzrostem trzykrotnie, wyciągnął wielką dłoń z trzymaną dwoma palcami bursztynową kulą i dotknął go. Mężczyzna wydał dziwaczny okrzyk i zeszytniał, przybierając kształt miecza. Stolem przypasał go sobie i bez słowa ruszył dalej, zostawiając onieemiałą córkę zbrojmistrza.

* * *

Znudzony karczmarz Częstomir siedział na zydłu, bezmyślnie patrząc w sufit. W gospodzie było cicho i pusto, ostatni klient wyszedł już dawno temu, a nowi nie przychodzili. Od kiedy większość mężczyzn wyruszyła na wyprawę, do karczmy nie miał kto zachodzić. Czasami wpadło kilku weteranów, rzadziej jakiś podróżny, ale generalnie nic się nie działo.

– Kolejny dzień psa – pomyślał gospodarz, klepiąc się po ogromnym brzuchu. – Przyjdzie mi chyba zwinąć interes.

Wtem otworzyły się drzwi, a na progu stanęła postać miejscowego żebraka Barnima.

– Częstomirze, mój przyjacielu! – zawołał przybysz. – Podaj mi prędko kufel piwa!

– Uprosiłeś dość?

– Nawet więcej!

Karczmarz z wielkim trudem podniósł się z zydła. Gruby i ciężki był od małości, miał to pewnie po matce i ojcu, ludziach chorobliwie otyłych, ale i sam się do swego stanu przyczyniał. Co rano kazał w kuchni gotować posiłki, jakby miało go odwiedzić ze stu gości, a że klientów było mało, sam zjadał obiady i kolacje, aby się tylko nie zmarnowało. Grubszy zdawał się już niż wyższy, poruszanie zaś przychodziło mu z trudem. Kufel piwa jednak nalał i podał gościowi. Ten usiadł przy ławie, na którą wyspał uźebrane monety.

– Będzie dość – oznajmił, ustawiając monety w piramidkę.

Gospodarz pokiwał głową, po czym spytał:

– Cóż tam słyhać w okolicy? U mnie takie pustki, że już nawet plotek nie słyszę.

– A, nic nadzwyczajnego. Córka Świętochny powiła syna, który ma tylko jedno ucho. Staremu Wojmirowi zdechl koń. W lesie grasują wilki, a na rozstaju dróg, pod dębem, leży martwy źerca.

– Martwy źerca?

– Całkiem martwy.

– To już trzeci od kiedy wiosna nastąpiła.

– Cieplesze powietrze widać im nie służy.

– Pewnie tak – westchnął gospodarz. – A co tam u ciebie?

Pogawędkę przerwał gwałtowny trzask wpadających do środka karczmy drzwi. Otwór wejściowy wypełniał teraz całą swą postacią ogromny stolem. Jednym susem dopadł grubego karczmarza, a dotknięciem bursztynowej kuli sprawił, iż ten nadął się i zeszywniał. Stolem przełożył rękę między szelkami a plecami mężczyzny i z zadowoleniem stwierdził, iż wielka tarcza doskonale spełnia swoje zadania ochronne. Zabrał więc sobie Częstomira i wyszedł, zostawiając oniemiałego żebraka.

* * *

Wendulka biegła przez wykroty, cały czas słysząc za sobą odgłosy pogoń: szczekanie psów, rzenie konie i wściekłe krzyki jeźdźców. Choć pędziła niezwykle szybko, tak że pogoń prawie wcale się do niej nie zbliżała, czuła, że nie ma szans. Wiedziała, że bezpieczny dystans może utrzymać jeszcze przez jakiś czas, ale koniec końców straci siły. Rozumiała już, że błąd popełniła na samym początku, uciekając na otwartą przestrzeń. Po łąkach rzecz jasna lepiej się biegnie, a ona była naprawdę szybka, szybsza niż zając, lecz z drugiej strony nie ma gdzie się skryć.

Stopy już ją bolały, mięśnie nóg piekły, dyszała ciężko. Zdawało się, że brodzi w bagnie, że każdy krok to walka z gęstym błotem, z którego nie może się wyrwać. Słyszała coraz głośniejsze odgłosy pościgu. Jeźdźcy i psy byli już całkiem blisko. „To wzgórze to moja ostatnia szansa” – pomyślała. – „Jeśli za nim nie znajdę schronienia, to koniec”.

Wykrzesła z siebie resztkę sił, przyspieszyła i wbiegła na wzgórze, i na moment zniknęła pościgowi z oczu. Gdy jeźdźcy również dotarli na szczyt, ze zdumieniem zobaczyli, że nie ma nigdzie dziewczynki, jest za to groźnie wyglądający stolec, siedzący na ogromnej białej klaczy z żółtą grzywą i czarnymi butami na tylnych kopytach. Olbrzym był w bojowym rynsztunku, z człowiekiem w kształcie miecza w jednej dłoni i okrągłym grubasem jako tarczą w drugiej. Ścigający zatrzymali się, a najodważniejszy z nich krzyknął w stronę olbrzyma:

– Bardzo przepraszam, nie widział waszmość może uciekającej czarownicy? Wygląda jak dziecko, ale bardzo szybko biega i jest...

– Siedzę na niej – przerwał mu lodowatym tonem Kastuki, po czym zawrócił klacz i pognał przed siebie, zostawiając oniemiałych jeźdźców.

* * *

Była już głęboka noc, gdy kowal Wartysław usiadł na skraju łoża, zdmuchnął świecę i wsunął się pod pierzynę.

– Dobranoc – rzekł do żony, nakrywając się po same uszy. Noc miała być bardzo zimna.

– Dobranoc – odparła Radochna i ułożyła się wygodnie na prawym boku, plecami przylegając do męża.

Leżeli chwilę, wsłuchując się w świszczący za oknem wiatr. Sen jednak nie przychodził.

– Mam dziwne przeczucie... – wymamrotał kowal. – Ktoś lub coś się tu zbliża.

– Znów syn Marzanny? – wymruczała zaspana Radochna. – Jest środek nocy, więc to musi być on.

– Nie – odrzekł bardzo niepewnie Wartysław. – Dopiero co poprawiałem mu Błękitną Maskę, niemożliwe, żeby znów zepsuł. Po drugie, idzie tu coś dużo większego...

– Rzeczywiście! – Żona całkiem się wybudziła. – Teraz i ja to słyszę.

Kował wstał z posłania, by sprawdzić, co też to nadchodzi. Wziął swój wielki młot, który w nocy zawsze trzymał przy wezgłowiu i ruszył ku wejściu. Zbyt nie obawiał się napadu, wiedząc, iż zarówno rycerze, jak i bandyci, a nawet półdemony potrzebują jego usług. Nie zdążył jednak uchylić drzwi, gdy te wpadły do środka z wielkim hukiem. Przez powstały otwór wsunęła się wielka ręka, która chwyciła kowala i pociągnęła na zewnątrz.

Radochna wrzasnęła przestraszona, lecz dzielnie ruszyła mężowi na ratunek. Gdy wybiegła na zewnątrz, zobaczyła tylko, jak potężny stolem zakłada sobie Wartysława na głowę jakby szyszak, po czym wsiada na wierzchowca i znika w ciemnościach. Stała oniemiała, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

* * *

Zielarka krzątała się po małej izbie. Warzyła na palenisku jakąś śmierdzącą miksturę, mamrocąc niezrozumiałe zaklęcia. Wszystko na próżno. Z leżącej na barłogu Bogny życie wyciekało nieubłaganie. Oddychała ciężko, a jej spocona twarz bladła z każdą chwilą. Zielarka pokręciła smutno głową. Westchnęła, wyciągając z sakwy małejki woreczek. Sięgnęła doń długimi palcami i wysypała wydobyty proszek bezpośrednio do ust chorej. Ta uniosła i wygięła nienaturalnie ciało, tylko stopami i głową wciąż opierając o posłanie, podczas gdy nogi, biodra, plecy i szyja tworzyły dziwny łuk. Bogna otworzyła szeroko oczy, jakby nagle wróciła

jej cała przytomność. Powiodła wzrokiem po izbie, zatrzymując go na twarzach trójki dzieci, skulonych w jednym z kątów.

– Skarbenki – wyszeptwała. – Chodźcie do mnie.

Dzieci popatrzyły trwoźliwie to na matkę, to zielarkę, aż ta ostatnia skinęła przyzwalająco głową. Wiedziała, że podany chorej proszek podziała tylko przez krótką chwilę, a gdy efekt ustąpi, nie będzie już żadnego ratunku.

Dziewczeczki ruszyły w stronę barłogu, gdy nagle ściana, pod którą leżała Bogna, runęła, a w jej miejscu pojawiła się ogromna postać stolema Kastukiego. Bez chwili zastanowienia dotknął bursztynową kulą zarówno wygiętą umierającą, jak i jej potomstwo, zamieniając ich odpowiednio w łuk i trzy strzały. Na wszelki wypadek użył też kuli na zielarce, jednak nie uzyskał żadnego efektu. Zostawił więc oniemiałą staruszkę w spokoju, zebrał uzyskane przedmioty, wskoczył na wierzchowca i pospiesznie odjechał.

* * *

Widząc zbliżającego się potężnego jeźdźca, bracia Ajło zwołali szybką naradę. Nie dyskutując zbyt długo, postanowili wyjść przybyszowi na spotkanie, by nie dopuścić do walki na terenie dopiero co budowanego grodu. Obawiali się, że konstrukcja może ulec zniszczeniu. Stanęli więc w odległości kilkudziesięciu sążni od zabudowań, przybierając bojową postawę. Kastuki wstrzymał wierzchowca i z pewnej odległości przypatrywał się przeciwnikom.

– Czego chcesz?! – krzyknął Rębajło.

– Pozabijać was.

– Właściwie czemu? – zapytał Wykidajło. – Czy mamy jakiś dawny zatarg?

– Nie o to chodzi, panowie – zaczął Kastuki. – Macie coś, co jest mi bardzo potrzebne.

– Aaa... czyli wiesz o pracowni alchemika! – zawołał Wykidajło. – Nic nie dostaniesz, to nasze!

– Zobaczymy! – odparł stolem. – Dość gadania! Walczmy!

– Dalej bracia! – ryknął w odpowiedzi Rębajło. – Zasieczmy gada!

– Tak jest! – zakrzyknęli pozostali. – Na plasterki!

– Tylko szybko – rzekł spokojnie Kastuki. – Nie będziemy się lać godzinami jak w jakimś anime.

Stolem zdjął z pleców Bognę, założył na cięciwę trójkę jej dzieci i wystrzelił wszystkie jednocześnie. Każda strzała dosięgła celu, to znaczy Zapiewajły, który już miał zaintonować straszliwą pieśń. Nim jednak wydał z siebie dźwięk, padł martwy. Kastuki spał wierzchowca i zaszarżował na Ajlów. Popychajło wziął rozpęd i wybiegł mu naprzeciw. Wendulka jednak, wzmocniona jeszcze Każkiem, wykonała wielki skok i przeleciała nad atakującym. Ten popędził przed siebie i zaraz zniknął z pola widzenia. Pozostała piątka zwarła szeregi i zaatakowała. Kastuki dwoma sprawnymi, niezwykle szybkimi cięciami Budzimira usieknął Biegajłę i był blisko trafienia Skakajły, lecz ten wyskoczył wysoko w niebo. Jednak w tym samym momencie Wendulka zobaczyła przerażającą zbroję Strachajły i złękła się, stając dęba, wskutek czego stolem spadł. Wykorzystał to Rębajło, atakując z furją. Częstomir jednak wykazał inicjatywę i sam zasłonił Kastukiego przed toporem napastnika, choć doznał przy tym licznych złamań. Ale w mgnieniu oka Budzimir zadał Rębajle śmiertelne cięcie od szyi po łopatkę. W tym momencie z nieba wrócił Skakajło, usiłując spaść na stolema, by złamać mu kark. Nie przewidział jednak, iż chroniący głowę przeciwnika Wartysław zakończony jest długim, wysuwającym szpikulcem, na który napastnik nadział się niczym szaszłyk. Kastuki zdjął hełm, by uwolnić się od ciężaru i cisnął nim w kryjącego się za drzwiami od stodoły Wykidajłę. Ten upadł, ale z drugiej strony zabiegł stolema Strachajło i już miał wbić mu sztylet w plecy, gdy niespodziewanie potracił go powracający na pole walki Popychajło, który tym razem pobiegł w przeciwnym

kierunku, na północ. Właściciel straszliwej zbroi stracił równowagę, na skutek czego przebił go Budzimir, a ułamek sekundy później Czesłomir powstrzymał szarżę Wykidajły atakującego drzwiami od stodoły. Te pękły, a pozbawionego osłony olbrzymia kopnęła Każkiem Wendulka, której po śmierci Strachajły natychmiast wróciła odwaga. Wykidajło poleciał w las, kosząc kilkanaście drzew i padł martwy pod wielkim świerkiem. Kastuki tymczasem spokojnie wyjął z Zapiewajły trzy strzały i przygotował łuk. Gdy po chwili Popychajło wracał na pobojuwisko, przywitała go potrójna salwa. Choć dwaj synowie Bogny nie trafili, to jej córka wbiła się olbrzymowi w oko i ten padł wreszcie martwy.

Ochłonawszy chwilę, Kastuki wyjął bursztynową kulę i po kolei dotykał nią swe uzbrojenie. Było w gorszym stanie niż on sam, pełne ran i obrażeń po uderzeniach. Budzimir narzekał na zwichnięte barki, Czesłomir połamane żebra, Wendulka ze strachu całkiem osiwiiała, Każko miał na całym ciele sińce w kształcie końskich kopyt, Wartysław zupełnie nie mógł kręcić szyją, Bogna ponaciągała wszystkie stawy, a jej dzieci płakały z powodu niezliczonych guzów na głowach. Wszyscy jednak żyli, czego nie dało się powiedzieć o braciach Ajło. Rannymi zaraz zajęli się ludzie kasztelana Suły, dotąd obserwujący walkę z pobliskiego lasu. Radości nie było końca, wyrażano wdzięczność zarówno broniom, jak i stolemowi.

– Dobra robota! – podsumował Kastuki. – Nie wiecie, gdzie jest łódź olbrzymów?

– Zaczumowali na północ od grodu, który budowali. Przy wsi Poraje jest przystań – poinformował kasztelan.

– Świetnie! To żegnajcie, spieszno mi!

– Ale panie! – zawołał Każko, któremu właśnie wcierano w plecy jakąś maść. – Nie chcesz eliksiru wszechwiedzy z pracowni alchemika?

– Nie potrzebuję go – odparł z uśmiechem stolem. – Kiedy mi powiedziałeś, że przyplęnęło tu siedmiu chłopu, było jasne, że musieli gdzieś

zostawić swoje żony i narzeczone. Teraz ja do nich popłynę, a wszystkie będą moje i tylko moje!

– Więc twoją motywacją były wyłącznie, za przeproszeniem, babskie tyłki? – zapytał zdumiony Każko.

– Oczywiście! Celem życia jest przyjemność, jak nauczał mistrz Hegzjasz, a prawdziwy harem zapewni mi jej pod dostatkiem. Żegnajcie!

To powiedziawszy, ruszył odszukać łódź i pożegłował ku swej wymarzonej krainie dożywotniej szczęśliwości.